

Krzysztof Kosiński

Warszawa

Odcienie czarnego rynku

Jerzy Kochanowski, *Tylnymi drzwiami. „Czarny rynek” w Polsce 1944–1989*, Warszawa 2010, Wydawnictwo Neriton, Instytut Historyczny UW, ss. 385

Jerzy Kochanowski wychodzi z założenia, że „choć nie przez cały okres powojenny zaopatrzenie było w Polsce jednakowo złe, to jednak nigdy nie udało się osiągnąć równowagi rynkowej — podstawowego czynnika eliminującego zjawiska czarnorynkowe” (s. 49). Skoro czarny rynek okazał się wręcz immanentną cechą gospodarki socjalistycznej, pojawia się pytanie, jak go zdefiniować. O tym, że nie jest to łatwe zadanie, świadczy poniekąd fakt, że w aspirującym do próby bilansu dotychczasowej wiedzy o komunizmie słownika pt. *Communism. A Dictionary of 20th Century*, pod red. Silvio Ponsa i Roberta Service’a, hasło „czarny rynek” nie pojawia się; wzmianki o nim znajdziemy co najwyżej w hasłach *clientelism* czy *socialist market economy*¹.

Jaką definicję proponuje więc Kochanowski? Przede wszystkim odnosi się do znanych już prac Jánosa Kornaia o „gospodarce niedoboru” oraz Eleméra Hankissa o „gospodarce drugiego obiegu” (s. 11–14)². Przywołuje też niewykorzystywany chyba dotąd w polskiej literaturze artykuł Arona Katsenelinboigena pt. *Kolorowe rynki w Związku Sowieckim*, opublikowany w 1977 r. na łamach „Soviet Studies” (s. 13). Zasadnicza teza tego artykułu to konstatacja, że określenie „czarny rynek” jest nadmiernym uproszczeniem, gdyż nie uwzględnia różnorodności przyjmowanych strategii: od jawnie antysystemowych po ledwie asystemowe (s. 13–14).

Kochanowski skłania się do wniosku, że najbardziej użyteczną definicję znajdziemy w wydanej w 2002 r. pracy hinduskiego ekonomisty Aruna Kumara pt. *The Black Economy in India*³. To praca o tyle istotna, że w latach 80. „czarny rynek” w Indiach mógł stanowić nawet połowę PKB. Definicja ta brzmi następująco: „Kiedy skutek (sztucznej) manipulacji popytem i podażą, pieniądzem lub/i produkcją, handlem lub/i przemysłem doprowadza się do sztucznej sytuacji niedoborów (lub nadmiaru), i jeżeli w procesie obrotu otrzymujemy olbrzymią skalę zysku [...], wtedy mamy do czynienia z sytuacją czarnorynkową” (s. 21). Zapewne można by dyskutować nad trafnością takiego ujęcia.

W tym kontekście Kochanowski przedstawia własną metodę badawczą. Zastrzega, że jego książka „nie aspiruje do rangi analizy ekonomicznej, socjologicznej lub antropologicznej”, jej celem jest raczej „w miarę interdyscyplinarna (ale z naciskiem na naukę historyczną) rekonstrukcja różnych zachowań, mechanizmów, zjawisk, praktyk, procesów i strategii połączonych wspólnym, czarnorynkowym mianownikiem” (s. 9).

¹ *Communism. A Dictionary of 20th Century*, ed. S. Pons, R. Service, Princeton 2010, s. 117–119, 737–738.

² Zob. także: M. Marody, *Przemiany postaw ideologicznych i przystosowanie*, w: *Komunizm. Ideologia, system, ludzie*, red. T. Szarota, Warszawa 2001, s. 134–135.

³ A. Kumar, *The Black Economy in India. With a New Foreword by V.P. Singh*, New Delhi 2002.

Kochanowski realizuje te założenia, opierając się na szerokiej kwerendzie archiwalnej. W pracy wykorzystane zostały 24 zespoły AAN, zasoby IPN, dokumentacja z archiwów we Wrocławiu, Gdyni, Gorzowie Wlk., Krakowie, Poznaniu, akta Archiwum MSZ, zbiory Archiwum Związków Zawodowych oraz Ośrodka Dokumentacji i Zbiorów Programowych TVP. Do tego prasa (w sumie kilkadziesiąt tytułów), dzienniki, pamiętniki, a także relacje. W bibliografii raczej trudno byłoby wskazać publikacje, które nie zostały uwzględnione.

Zarazem Kochanowski dostrzega mankamenty zebranych źródeł. Najważniejszy z nich to nieuniknione „patrze niejako z zewnątrz, bardziej oczyma urzędnika i milicjanta niż cinkciarza czy *baby z cielęcina*”. Motywacje, opinie, kwestie etyczne, „rytuały” uczestników czarnego rynku pozostają nadal trudno uchwytnie (s. 27–28).

Książka została podzielona na dwie części. Na pierwszą część składają się syntetyczne analizy dotyczące genezy oraz geografii czarnego rynku. Następnie omówiona została polityka „antyspekulacyjna” władz PRL. W drugiej części książki zaprezentowane zostały studia monograficzne (wybranych) zjawisk czarnorynkowych. W podsumowaniu Kochanowski powraca do pytania, czym w istocie był „czarny rynek” w gospodarce socjalistycznej.

Geneza czarnego rynku

Zacznijmy od pytania, jak Kochanowski widzi genezę czarnego rynku. Jego zdaniem „laboratorium czarnorynkowym” była I wojna światowa (choć dla porównania przywołuje też inne, wcześniejsze przykłady — z okresu rewolucji francuskiej czy wojny secesyjnej w USA). To wtedy właśnie upowszechniły się terminy „szmugiel”, „szmugler” czy „paskarstwo” (s. 32–33).

Okresem rozkwitu czarnego rynku na skalę dotąd niespotykaną okazała się jednak dopiero II wojna światowa. Nawiązując do książki Tomasza Szaroty *Życie codzienne w stolicach okupowanej Europy*⁴, Kochanowski stwierdza, że to, iż „w paryskich knajpach można było dostać rosyjski kawior, a w warszawskich — wędzonego łososa i francuski koniak, zawdzięczano powszechnemu udziałowi w czarnym rynku żołnierzy i urzędników okupacyjnych, pełniących często rolę kanałów transportowych między odległymi częściami okupowanej Europy” (s. 40).

Szczególnie trzy obserwacje poczynione tu przez Kochanowskiego wydają się interesujące. Wskazuje on, że w warunkach okupacyjnych — gdy towarem najbardziej poszukiwanym stała się żywność — na ogół „lepiej radziła sobie wieś w Europie Wschodniej i Południowej, która dzięki naturalnym sposobom gospodarowania łatwiej wypracowywała mechanizmy obronne niż nowoczesne rolnictwo francuskie, duńskie czy holenderskie” (s. 39). Co więcej, polscy chłopcy, nawiązując nierzadko do doświadczeń jeszcze z okresu I wojny światowej czy z kryzysowych lat 30., dość skutecznie omijali przepisy czy zawierali korupcyjne układy z przedstawicielami władz okupacyjnych niższego szczebla.

Zarazem to właśnie w czasie okupacji doszło do nienotowanej chyba dotąd redystrybucji majątku; w zamian za żywność „z miast wędrowały na wieś pieniądze, złoto, dewizy, biżuteria, meble, dywany, ubrania etc.” (s. 39). Podobna sytuacja miała zresztą miejsce właściwie w całej okupowanej Europie.

Inne ważne zjawisko to czarnorynkowa specjalizacja wielu wsi czy małych miasteczek, zwłaszcza w Generalnym Gubernatorstwie, gdzie czarny rynek zapewniał nawet 30–40% poszukiwanych towarów (s. 41). Na przykład w okolicach Warszawy Karczew dostarczał mięso

⁴ T. Szarota, *Życie codzienne w stolicach okupowanej Europy*, Warszawa 1995.

(stąd nazywano go „Prosiakowem”), Jabłonna i Legionowo — samogon, Rembertów — tytoń, a Piaseczno, Góra Kalwaria i Grójec — mąkę (s. 39).

Dla czarnego rynku koniec wojny nie był znaczącą cezurą. Przybyło nawet jeszcze czynników sprzyjających jego rozwojowi: pauperyzacja zmuszająca do wyprzedawania nawet rodzinnych pamiątek; migracje setek tysięcy ludzi, przeważnie włączających się w czarnorynkowe transakcje; szabrownictwo na Ziemiach Odzyskanych; także udział armii okupacyjnych w transferze dóbr (legalnym i nielegalnym) (s. 42–43).

Kochanowski zwraca też uwagę na takie czynniki, jak ostra zima 1946/1947 r., a następnie katastrofalna susza latem 1947 r., które potęgowały aprowizacyjne trudności. Czarnorynkowe strategie stawały się wręcz warunkiem przetrwania, co zresztą wpływało niekiedy na ich brutalizację.

Geografia czarnego rynku

Ukształtowana w okresie okupacji mapa czarnego rynku w znacznej mierze utrwaliła się w pierwszych latach powojennych (s. 119).

Idąc tropem Kochanowskiego, można by przedstawić mapę czarnego rynku w trzech wymiarach. Wymiar pierwszy to centrum–peryferie. Z jednej strony wielkie miasta najbardziej sprzyjały rozwijaniu czarnorynkowych strategii. Zapewniały dostęp do urzędów, do zasobów państwowych zakładów, ułatwiały też kontakty z cudzoziemcami (s. 121–123). Istotne znaczenie miały tu również uwarunkowania historyczne, choć niekiedy okazywały się one obciążeniem. Szczególny wydaje się przypadek Radomia, który w latach 50. zyskał opinię jednego z najzamożniejszych miast w Polsce, przede wszystkim dzięki przemysłowi skórzanemu, działającemu na granicy gospodarki oficjalnej i nieoficjalnej. Kochanowski wskazuje, że funkcjonowało wówczas ok. 3 tys. punktów nielegalnego garbunku, rozsianych w mieście i okolicy. Gdy jednak w latach 1960–1961 doszło do procesu aferzystów skórzanym, w którym zapadły nawet wyroki śmierci (niewykonane), radomski czarny rynek zaczął podupadać, a samo miasto na mapie czarnego rynku już się nie wyróżniało (s. 126).

Z drugiej strony nieco odmiennymi prawami rządził się czarny rynek na peryferiach. Idąc tropem m.in. Julie Hessler, autorki książki pt. *A Social History of Soviet Trade*⁵, Kochanowski wskazuje, że „funkcjonowanie w małych, zamkniętych środowiskach, których członkowie byli od siebie zależni (i na siebie skazani), a relacje patron–klient dominujące, prowadziło do powstawania sprawnie działających sieci społecznych, których ciasne oczka były często skuteczną zaporą dla interwencji z zewnątrz” (s. 128). Co więcej, w miarę słabnięcia ekonomicznej wydolności państwa, szczególnie pod koniec lat 70., zwiększało się przyzwolenie lokalnych władz na nieformalną aktywność ekonomiczną, zwłaszcza jeśli ułatwiała ona złagodzenie niedoborów (s. 129). O przyzwoleniu takim może świadczyć fakt, że np. w 1983 r. ponad trzy czwarte przestępstw spekulacyjnych zanotowano w dużych miastach, a tylko jedną czwartą na prowincji — co uznawano za całkowicie niemiarodajne dla faktycznego stanu rzeczy (s. 130).

Drugi wymiar mapy czarnego rynku w PRL to podział na Południe i Północ. Z jednej strony to Podhale, o którego specyfice Kochanowski zresztą szeroko pisze. Udało mu się dotrzeć do niezwyklego raportu komisji partyjnej, sporządzonego po wizytacji Zakopanego w 1972 r., w którym konstatowano, że państwo zostało tu „postawione w sytuacji gorszej niż

⁵ J. Hessler, *A Social History of Soviet Trade. Trade Policy, Retail Practices, and Consumption, 1917–1953*, Princeton 2004.

w kapitalizmie, bowiem zostało zepchnięte na pozycje nawet nie nocnego stróża, ale bezpłatnego dróżnika i zamiatacza ulic” (s. 133). Przyznawano, że władza jest „wykonywana w drodze bezpośrednich kontaktów I sekretarza Komitetu Miejskiego z dyrektorami przedsiębiorstw i kierownikami różnych instytucji i placówek”. Kochanowski zwraca też uwagę na to, że z reguły funkcjonariusze niższego szczebla po kilku latach pracy w aparacie obejmowali stanowiska kierowników domów wypoczynkowych, lokali gastronomicznych, „tym bardziej jeszcze zacierając granice między tym co państwowe i prywatne, legalne i nielegalne” (s. 135).

Na północy o dynamice czarnego rynku decydowały miasta portowe. Ich obraz socjologiczny różnił się znacznie od tego znanego z Podhala (s. 136–137), choć akurat w Gdyni to właśnie ciągłość osiedleńcza, trwałość kultury przedsiębiorczości sprzyjały (skutecznym) strategiom czarnorynkowym, szczególnie w pierwszej dekadzie powojennej (s. 137). Przykładem — tutejsze powiązania przemysłowców i celników (s. 139). W przypadku miast portowych zwraca uwagę elastyczność w dostosowywaniu się do potrzeb rynkowych. Kochanowski wskazuje, że w latach 50. „hitem przemysłowym” była sztuczna biżuteria, pod koniec lat 50. — wyroby kosmetyczne, w latach 60. — ręczne zegarki oraz wyroby tekstylne (np. płaszcze ortalionowe), w latach 70. — zegarki elektroniczne i minikalkulatory. Towar sprowadzano głównie z Hamburga, Kilonii, Rotterdamu (s. 140). Ciekawym zjawiskiem wydaje się to, że część prywatnego importu kupowały instytucje państwowe (s. 142).

Czarny rynek w miastach portowych to również prostytutka, o której warto by chyba napisać szerzej. A także cinkciarze, których obroty bywały tak duże, że po zapasy dewiz wyprawiano się do miast położonych w południowej Polsce (np. Lublina czy Przemyśla) (s. 143).

Trzeci wymiar czarnorynkowej mapy to podział na wschód i zachód. Pomijając pierwsze lata powojenne, granice zarówno na Odrze, jak i na Bugu były właściwie martwe. Co gorsza, podzieliły one obszary dotąd zwarte ekonomicznie. Granice te, zwłaszcza zachodnia, nie były jednak całkowicie szczelne. Zdaniem Kochanowskiego wyłomów dokonywała kolej, czemu sprzyjały połączenia tranzytowe z Niemiec do ZSRR (stąd np. rola Kutna po wojnie) (s. 149). W przypadku granicy wschodniej do jej rozszczelnienia po 1956 r. przyczyniły się przesiedlenia, czemu towarzyszyło także nasilenie się przemytu (s. 151). W późniejszych latach istotne znaczenie jako miasto handlowe, a zarazem tranzytowe zyska Lwów (s. 155).

Nie trzeba dodawać, że w przypadku granicy zachodniej przełomowym momentem był 1 I 1972 r., kiedy została ona otwarta dla ruchu bezpaszportowego dla obywateli PRL i NRD (s. 151). Kochanowski wskazuje, że dość szybko takie miasteczka, jak Zgorzelec, Słubice, Gubin, Kostrzyn znalazły się „bliżej Berlina niż Warszawy czy Poznania” (s. 151). Wprowadzane później przez NRD ograniczenia celne sprawiają zaś, że na granicy zachodniej wytworzą się wręcz „społeczeństwa przemysłowe”, nastawione na szmugiel z NRD i do NRD (s. 151, 154).

O turystyce handlowej Kochanowski pisze w osobnym szkicu — o czym za chwilę.

Polityka antyspekulacyjna

Jak wyglądała polityka „antyspekulacyjna” w Polsce Ludowej? Zdaniem Kochanowskiego można by ją zilustrować sinusoidą — zbieżną zresztą z cyklami gospodarczymi.

Przynajmniej trzykrotnie powoływano specjalne instytucje nastawione na zwalczanie „spekulacji” (czarnego rynku), przy czym warto odnotować, że hasło „spekulacja” powracało od lat 40. po lata 80., co z kolei skłania do pytania o trwałość reguł systemowych PRL (s. 49–50).

Etap pierwszy to lata 1945–1954, który dzieli się na dwie fazy: 1945–1950 i 1951–1954. Punktem wyjścia był tu dekret o zwalczaniu spekulacji i lichwy wojennej, wydany 25 X 1944 r. Na początku 1945 r. powstał Główny Urząd (Biuro) do Walki z Lichwą i Spekulacją Wojenną przy Prezydium Rady Ministrów (s. 53). Z jednej strony Urząd ten miał nawiązywać do sowieckiej Czeka, z drugiej — można tu dostrzec pewne podobieństwa z Urzędem do Walki z Lichwą i Spekulacją, funkcjonującym w początkach II RP (s. 54). Urząd ten okazał się jednak instytucją prowizoryczną. Decydujące znaczenie miało powołanie w listopadzie 1945 r. Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym, która odegrała kluczową rolę w „bitwie o handel” (do której zresztą Kochanowski wielokrotnie powraca w rozdziałach monograficznych) (s. 54). W 1950 r. znaczną część uprawnień Komisji przekazano Prokuraturze (s. 50, 61–62), niemniej zachowała ona prawo orzekania kar; w rezultacie o ile w latach 1945–1950 Komisja skazała na pobyt w obozie 25 tys. osób, o tyle w latach 1951–1954 — 59,5 tys. (s. 62)⁶.

Bilans kampanii antyspekulacyjnych w okresie stalinowskim wydaje się jednak niejednoznaczny. Książka Jerzego Kochanowskiego ujawnia specyficzny, zresztą nie tylko dla stalinizmu, paradoks. Z jednej strony trudności gospodarcze, ogólne ubóstwo wywoływały nastroje egalitarystyczne. Stąd podatność znacznej części społeczeństwa na hasła równościowej reglamentacji dóbr, wedle zasady „każdemu według potrzeb”. Z drugiej strony egalitarystycznie nastawione społeczeństwo wykorzystywało właściwie wszelkie luki systemowe do rozwijania strategii czarnorynkowych, w praktyce odrzucając zarazem hasła równościowe. Taką lukę stwarzał np. niejasny status spółdzielni (które wciąż czekają na opisanie przez historyków) (s. 65). Co więcej, nawet drastyczne wyroki ferowane przez Komisję Specjalną nierzadko za ledwie skrywały instytucjonalną słabość państwa. To zaś skutkowało sprzężeniem zwrotnym: podobnie jak w okresie okupacji rozwijało się „społeczeństwo czarnorynkowe”, w którym „rozgałęzione sieci zależności” służyły zdobywaniu deficytowych dóbr (s. 62–64).

Osobny problem to korupcja, o której zaczęto otwarcie mówić w roku 1956. Oceniano wówczas, że właściwie każdy towar trafiający do handlu może zostać sprzedany pokątnie za łapówkę wynoszącą średnio 10% jego wartości (URM) (s. 67).

W roku 1956 czarny rynek odrodził na skalę porównywalną z pierwszymi latami powojennymi. Istotne znaczenie miały tu takie czynniki, jak przyzwolenie na działalność prywatnego rzemiosła i handlu (pomimo późniejszych ograniczeń liczba osób zatrudnionych w pozarolniczym sektorze nieuspołecznionym przekroczy w latach 60. 500 tys.), częstsze niż dotąd kontakty zagraniczne (także na skutek przesiedleń), rozwój budownictwa jednorodzinnego (i towarzyszący mu popyt na materiały budowlane), także powolny wzrost liczby samochodów skutkujący zapotrzebowaniem na benzynę. Inna rzecz, że czynnikami pobudzającymi czarny rynek będą w latach 60. również pogłoski o wymianie pieniędzy czy o wybuchu wojny.

Przyzwolenie władz na spontaniczną aktywność gospodarczą zostało cofnięte już wiosną 1957 r., o czym świadczy nasilenie retoryki antyspekulacyjnej na łamach prasy (s. 71). 31 X 1957 r. utworzony został Zespół Centralny do Walki z Nadużyciami i Korupcją, z Jerzym Albrechtem na czele (s. 77). Po dwóch latach prowadzenia antyspekulacyjnej ofensywy — w której główna rola przypadała milicji i prokuraturze — okazało się jednak, że przestępczość gospodarcza nie wykazuje tendencji spadkowych. Jak pisano w analizie Ministerstwa

⁶ Zob. także: *Komisja Specjalna do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym 1945–1954. Wybór dokumentów*, wstęp i oprac. D. Jarosz, T. Wolsza, Warszawa 1995.

Sprawiedliwości, nadużycia popełniano „w sposób grupowy, przez wspólne porozumienie osób, które powinny się nawzajem pilnować i kontrolować” (s. 76).

Niemniej warto tu odnotować, że w okresie natężenia walki ze spekulantami, na przełomie 1957 i 1958 r., postawiono zarzuty m.in. 14 tys. członkom PZPR, co zresztą wskazywało, że dla wielu osób legitymacja partyjna stawała się elementem kombinacji czarnorynkowych w dostępie do reglamentowanych dóbr (s. 78). Ten wątek książki wart byłby rozwinięcia.

W 1969 r. dotychczasowe ustawodawstwo antyspekulacyjne zastąpił nowy kodeks karny, który przewidywał — „w stopniu dotąd niespotykanym” — zaostrenie kar za traktowanie „nielegalnego obrotu” jako głównego źródła dochodu, za spekulację związaną z eksportem wewnętrznym, a także za gromadzenie towarów „w ilościach niewspółmiernych” przez „osoby nieuprawnione” (s. 76, 85).

W pierwszej połowie lat 70. wykrywalność przestępstw spekulacyjnych była podobna jak pod koniec lat 60., ale mniej już o nich pisano na łamach prasy, co mogło zresztą stwarzać wrażenie poluzowania reguł. Z punktu widzenia władz coraz większym problemem stawały przestępstwa przemytniczo-dewizowe — nieuchronny skutek otwarcia granic oraz zapanowania systemu *de facto* dwuwalutowego (s. 86).

Kochanowski zauważa, że takie terminy, jak „czarny rynek” czy „spekulacja” powróciły najpierw w tajnych raportach, a następnie na łamach prasy w 1975 r. (s. 89). Zarazem odnotowywano rosnące przyzwolenie społeczne na działania czarnorynkowe, co zresztą nie dziwi, skoro np. w 1977 r. niedobory notowano w przypadku 130 produktów (s. 88). Pod koniec lat 70. za najbardziej zagrożone przestępczością gospodarczą uznawano sektor żywnościowy, handel, budownictwo, transport (zwłaszcza sektor paliwowy).

Osobna kwestia to rozszerzenie się sektora nieuspołecznionego; liczba zatrudnionych w nim przekroczyła pod koniec dekady 600 tys. (s. 88). Kochanowski przywołuje tu niepublikowaną pracę Piotra Glińskiego, jeszcze z 1983 r., dowodzącą, że w latach 70. zmieniał się „portret zbiorowy prywaciarza”. Na plan pierwszy wysunął się „m.in. kult interesu, aktywności, rzutkości i inicjatywy”. Wartościom tym przeciwstawiano „marazm i bierność pracy w sektorze uspołecznionym” (s. 88). Można by tu dodać, że ta postawa sprzyjała rozszerzaniu się diagnozowanej wówczas przez Stefana Nowaka „próżni społecznej”⁷.

W latach 1980–1981 zarówno oficjalna dystrybucja towarów, jak i ich czarnorynkowa redystrybucja właściwie wymknęły się spod kontroli — czego symbolem stała się wymiana „barterowa” między sklepami i zakładami pracy (s. 92–93).

Zaostrzenie antyspekulacyjnego kursu nastąpiło w drugiej połowie 1981 r., co można wiązać m.in. z objęciem funkcji szefa MSW przez gen. Czesława Kiszcza (s. 95). W sierpniu 1981 r. zaczęto tworzyć Nadzwyczajne Komisje do Walki ze Spekulacją, ale w obawie przed skojarzeniami z Czeką we wrześniu przyjęto inną nazwę — Centralna Komisja do Walki ze Spekulacją. O jej randze świadczyło to, że ustawowo nadzorować ją miał jeden z wicepremierów (s. 99, 101).

Apogeum kampanii antyspekulacyjnych — którym nadawano znamienne kryptonimy: „Rynek”, „Benzyna”, „Mięso”, „Sektor” — to rok 1985, kiedy wprowadzono ustawę o szczególnej odpowiedzialności karnej — m.in. za przestępstwa gospodarcze (s. 108). To zresztą sprawiło, że ustawa amnestyjna z lipca 1986 r., dzięki której zwolniono większość więźniów politycznych, nie objęła nawet drobnych „spekulantów” (s. 117). Nawiasem mówiąc, należałoby tu chyba poświęcić nieco więcej uwagi działaniom Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej.

⁷ S. Nowak, *System wartości społeczeństwa polskiego*, w: idem, *O Polsce i Polakach. Prace rozproszone 1958–1989*, red. A. Sułek, Warszawa 2009, s. 142.

Zdaniem Kochanowskiego rozziew „między formą i treścią *walki ze spekulacją* a gospodarczymi, politycznymi i społecznymi realiami” stawał się jednak w drugiej połowie lat 80. coraz wyraźniejszy. Wyhamowanie represji wobec „spekulantów” nastąpi jesienią 1987 r. CKWS zostanie wówczas zlikwidowana, co można wiązać z ówczesnymi przygotowaniem do dalej idących reform gospodarczych.

Nowa era gospodarcza, także dla czarnego rynku, zacznie się wraz z wejściem w życie ustaw gospodarczych uchwalonych w grudniu 1988 r. (s. 118).

Pięć studiów monograficznych

W tym momencie rozpoczyna się druga część książki — na którą składa się pięć studiów monograficznych. Pierwsze z nich dotyczy „problemu nr 1”, jakim było mięso. Rynku mięsnego nie udawało się ustabilizować właściwie przez cały okres PRL. W ostatniej dekadzie PRL od 30% do 70% całej tzw. masy mięsnej rozchodzić się będzie „drogami mniej lub bardziej nielegalnymi” (s. 187–188, 192).

W szkicu tym przynajmniej cztery kwestie zasługują na uwagę. Ciekawe wydaje się odniesienie do książki Edwarda Thompsona pt. *Powstanie angielskiej klasy robotniczej*, od której wydania w 1964 r. spożycie mięsa przyjmowane jest dość powszechnie przez socjologów jako wskaźnik standardu życia (s. 159). Z tego punktu widzenia zaskakujący może wydać się fakt, że spożycie mięsa (w przeliczeniu na statystycznego mieszkańca) najszybciej rosło w Polsce pod koniec lat 40. (5,2 kg rocznie). W latach 1950–1970 — o 0,8 kg rocznie, a w uchodzących za dostatnie latach 70. — o 3,5 kg rocznie (s. 160).

Po drugie, Kochanowski zwraca uwagę, że tradycje nielegalnego (nieoficjalnego) handlu mięsem sięgają dwudziestolecia międzywojennego, choć dopiero podczas okupacji nielegalny obrót mięsem stał się zjawiskiem masowym (s. 166). Po wojnie, w lipcu 1946 r., zniesiono wprawdzie świadczenia rzeczowe, ale trudności aprowizacyjne w miastach sprawiły, że kontrola nad dostawami i dystrybucją mięsa stała się jednym z głównych celów „bitwy o handel” (s. 170–171). Skutkiem był dalszy rozwój czarnego rynku. Ilustracją może tu być to, że tylko od stycznia do lipca 1951 r. skupiono 404 tys. sztuk bydła oraz 559 tys. skór bydłocych, a także 1,2 mln cieląt oraz 1,9 mln skór cielęcych. Różnica między tymi liczbami pokazuje w przybliżeniu skalę nielegalnego obrotu mięsem (s. 172).

Po trzecie, Kochanowski polemizuje z tezą, że konsekwencją ruralizacji powojennych miast polskich (w związku z napływem ludności wiejskiej) było przyjęcie chłopskiego modelu konsumpcji. Zdaniem Kochanowskiego było na odwrót: to raczej napływowa ludność przyjmowała wzorce drobnomieszczańskie (w tym wysokie spożycie mięsa), które stały się punktem odniesienia „zarówno dla robotników, jak i dla chłopów” (s. 160). Tymczasem produkcja mięsa pozostawała w tyle za zmianami demograficznymi. Jednym z nielicznych momentów w historii PRL, kiedy udało się zaspokoić zapotrzebowanie na mięso, był rok 1958 — bodajże jedyny w historii PRL rok, kiedy prywatne rolnictwo otrzymało mniej więcej tyle samo środków co sektor państwowy i spółdzielczy (s. 164).

Po czwarte, Kochanowski podkreśla, że zaopatrzenie w mięso i jego niskie ceny postrzegane były jako element niepisanej umowy społeczeństwa i władzy. Władza była gotowa do utrzymywania stabilnych cen żywności, nawet kosztem olbrzymich i ciągle rosnących dotacji, które w latach 80. pochłaniały prawie 30% budżetu (s. 163). Miało to i ten paradoksalny skutek, że cena żywca w punkcie skupu oraz kilograma rąbanki w sklepie była niemal ta sama, co tym bardziej skłaniało rolników do handlu na czarnym rynku. Z punktu widzenia mieszkańca relatywnie niskie ceny mięsa w sklepie miały ograniczone znaczenie, skoro i tak

musiał zaopatrywać się na czarnym rynku (s. 163). Zarazem próby urealnienia cen mięsa przeważnie kończyły się buntami społecznymi (s. 185). Nawiasem mówiąc, największa podwyżka cen mięsa okazała się możliwa w okresie stanu wojennego (w 1982 r.), choć też nie doprowadziła do zrównoważenia rynku — i to pomimo wprowadzonej w 1981 r. reglamentacji kartkowej (s. 185).

Do najciekawszych wątków tego rozdziału należy, wedle określenia Autora, portret retrospektywny „baby z cielęciną”. Interesująca wydaje się tu z jednej strony trwałość „sieci dystrybucyjnych” niekiedy dziedziczonych z pokolenia na pokolenie, z drugiej — rozległość tych sieci, nierzadko łączących wytwórców na wsi, „baby z cielęciną” oraz dozorców domu (s. 196). Szczególnie w okresach największych niedoborów zawód handlarza mięsem należał do najbardziej dochodowych. Kochanowski przywołuje tu dane, z których wynika, że w latach 80. handlarz z bazaru na ul. Polnej w Warszawie mógł w ciągu roku sprzedać w sumie ok. 200 cielaków. Jego roczny przychód mógł sięgać nawet 1 mln zł (s. 196).

Epokę mięsnego czarnego rynku zakończyło dopiero urynkowanie cen mięsa w sierpniu 1989 r. (s. 202).

*

Drugi czarnorynkowy hit — i to niemal przez cały okres PRL-u — to alkohol (s. 203–204).

Istotna wydaje się obserwacja, że alkohol monopolowy (dodałbym: szczególnie piwo i wino) był w PRL relatywnie drogi. Przywołuje analizy, z których wynika, że nielegalne gorzelnictwo zanika, gdy za średnią pensję można kupić 60–70 butelek alkoholu. Tymczasem w PRL przelicznik ten wynosił 30 butelek, a po w latach 1982–1983 — ok. 20. Innymi słowy, wódka monopolowa była w PRL (relatywnie) dwukrotnie droższa niż przed wojną; znacznie też droższa niż w Europie Zachodniej (s. 213). Każda podwyżka cen alkoholu skutkowałą więc, pomijając już inne czynniki, wzmożoną produkcją samogonu. Najwyraźniej zjawisko to wystąpiło w okresie stanu wojennego, kiedy, wedle oględnych szacunków, funkcjonowało ok. 150 tys. nielegalnych bimbrowni. Kochanowski trafnie też zauważa, że o ile w latach 40. czy 50. pędzono samogon głównie na wsi, o tyle w latach 70. i 80. w równym (lub nawet większym stopniu) w mieście.

Ciekawe wydaje się również spostrzeżenie, że od czasu „bitwy o handel”, na skutek likwidacji prywatnych sklepów, barów, sodowiarni itp., miejscami dystrybucji bimbrowi oraz alkoholu monopolowego (z marżą) stały się meliny (s. 216). W latach 80. niektóre z nich przypominają będą hurtownie, zaopatrywane wprost z zakładów „Polmosu” (s. 226).

*

Kolejny kluczowy produkt czarnorynkowy — i to we wszystkich krajach socjalistycznych — to benzyna. A ponieważ motoryzacja w krajach socjalistycznych była spóźniona w porównaniu z Zachodem, tym bardziej postrzegano samochód jako „wyznacznik prestiżu, pozycji społecznej, symbolu luksusu, najpopularniejszego obiektu marzeń” (s. 233). Zarazem „monopolistycznym dysponentem samochodów” pozostawało państwo. Nabycie samochodu było jednak połową sukcesu (s. 235). Pozostawała jeszcze kwestia paliwa.

Idąc tropem ustaleń Kochanowskiego, można by wyróżnić przynajmniej dwie fazy paliwowego czarnego rynku. Pierwsza z nich to lata 50. i 60., kiedy samochodów wciąż jeszcze było dość mało. Specyficzna dla tego okresu była bliska kooperacja kierowców oraz pracowników stacji CPN czy tzw. stacji garażowych w przedsiębiorstwach, nierzadko znajomych

z tej samej okolicy (s. 238–239). O skali tej kooperacji świadczą liczby: np. w 1964 r. pojazdy prywatne zużyły ok. 284 tys. ton paliwa, natomiast stacje benzynowe sprzedawały ich właścicielom tylko 124 tys. ton. Pozostałe 160 tys. pochodziło z innych źródeł (s. 236).

Druga faza zaczęła się wraz z rozwojem motoryzacji w dekadzie gierkowskiej. Z jednej strony rosła liczba samochodów, z drugiej jednak — kryzys naftowy po 1973 r., a także załamywanie się gospodarki peerelowskiej pod koniec lat 70. sprawiały, że paliwo stało się jednym z najbardziej poszukiwanych surowców. Pojawiły się zatem nowe strategie zdobywania paliwa: nadużycia w stacjach paliwowych w przedsiębiorstwach czy w kółkach traktorzystów na wsiach; sprzedawanie „na lewo” paliwa przez kierowców zatrudnionych na państwowych etatach (przykładem taksówkarze, rezygnujący z jazdy, poprzestający na handlu przydzielalnym paliwem); a w latach 80. fałszowanie wkładek PZU upoważniających do dodatkowych zakupów paliwa (s. 243).

Kochanowski zwraca uwagę, że rynek paliwowy był tak rozchwiany, iż po zniesieniu kartek na benzynę 1 I 1989 r. zakłócenia trwały tu jeszcze kilka lat (s. 249). Na osobne omówienie zasługiwałyby ówczesne afery paliwowe.

*

Wiele uwagi Kochanowski poświęca czarnorynkowym walutom — dolarom i złotu, choć trzeba by tu zastrzec, że w momentach kryzysowych (jak np. w stanie wojennym) środkami płatniczymi stawały się też np. papierosy czy alkohol.

Przede wszystkim trzeba tu podkreślić, że po 1945 r. cały obrót tzw. wartościami dewizowymi (walutami i złotem „nieużytkowym”) został objęty monopolem państwa (s. 255). W 1950 r. w ogóle zabroniono posiadania walut oraz kruszców (w postaci „nieużytkowej”). Za samo posiadanie złotych monet lub sztabek groziło do 15 lat więzienia, za handel nimi — nawet kara śmierci (s. 259–260). Sprawilo to, że czarnorynkowe operacje walutowe musiały być bardziej zakonspirowane niż w okresie okupacji.

Rok 1956 można by więc nazwać walutową rewolucją. Jak pisze Kochanowski, już na początku listopada 1956 r. Ministerstwo Finansów cofnęło lub złagodziło obostrzenia z początku lat 50. (s. 261). W 1958 r. wydało też zezwolenie na otwieranie przez „krajowców dewizowych” nieoprocentowanych rachunków walutowych w niektórych bankach (s. 263). Jeszcze ważniejszym posunięciem było wprowadzenie w 1960 r. tzw. bonów dolarowych PKO jako „pomocniczych środków rozliczeniowych” (s. 263–264). Był to pierwszy krok w stronę dwuwalutowości, która *de facto* wytworzy się w latach 70. i 80. (s. 269).

Przynajmniej trzy kwestie poruszone przez Kochanowskiego wydają się tu warte uwzględnienia.

Po pierwsze, wskazuje on, że od końca lat 50. jedną z najistotniejszych sił napędowych rynku dewizowego był nielegalny import artykułów luksusowych (odzieży, zegarków etc.) oraz przynoszącego największe zyski złota. Nabywców przybywało po 1956 r. — głównie wśród przedstawicieli prywatnej inicjatywy, wolnych zawodów, jak i „aferzystów gospodarczych” (s. 265). Warto tu odnotować, że oszczędności bohaterów afery mięsnej obejmowały m.in. 17 tys. dolarów w złocie (s. 278).

Po drugie, Kochanowski zauważa, że popyt na dewizy i złoto rósł szczególnie wówczas, gdy władza zapalała zielone światło dla „prywatnej inicjatywy” (s. 279). Gdy rosło obciążenie podatkowe, jak np. na przełomie lat 60. i 70., dolary i złoto na czarnym rynku taniały (s. 279). Na ceny walut i złota wpływała migracja. Czarnorynkowe ceny dolara i złota szły w górę w latach 1956–1957 oraz w latach 1967–1969, gdy PRL opuszczali Żydzi, w momentach wzmożonych wyjazdów Niemców do RFN, a także w latach 80., gdy nasilała

się emigracja Polaków (s. 280–281). Warto też odnotować, że wzmożone zakupy złota miały miejsce w okresach wzrostu zagrożenia wybuchem wojny, podwyżkami cen czy wymianą pieniędzy (która dla wielu pozostawała traumatycznym doświadczeniem) (s. 277–279). Z tego punktu widzenia przekonująca wydaje się konstatacja Kochanowskiego, że gromadzenie złota „na czarną godzinę” to cecha raczej społeczeństw biednych niż bogatych — i to społeczeństw zagrożonych ekonomicznie (s. 253).

Po trzecie, ciekawe wydają się szacunki transferu walut i kruszców do Polski. Kochanowski przytacza dane MO, z których wynika, że w latach 1945–1971 do strefy niekontrolowanej przez państwo wpłynęło z zagranicy 273 mln dolarów i ok. 40 ton złota. Kwoty te świadczą, co warto podkreślić, przede wszystkim o masowości szmuglu dokonywanego niemal przez wszystkich tych, którzy mieli okazję wyjechać za granicę (s. 282). Na początku lat 70. szacowano, że co roku nielegalnie wywozi się z Polski 10 mln dolarów, za które kupuje się za granicą ok. 2,5 ton złota i ok. tony kamieni szlachetnych (czy półszlachetnych). Jak zastrzega Kochanowski, „czy te szacunki były bliskie prawdy, nie przekonamy się zapewne nigdy” (s. 284). Wiadomo za to na pewno, że u schyłku PRL na prywatnych kontaktach walutowych przechowywano ok. 2 mld dolarów, co też świadczy o skali dokonywanych transferów (s. 272).

Kim byli walutowi przemytnicy? Zdaniem Kochanowskiego, do drugiej połowy lat 50. przemycem zajmowali się głównie podróżujący służbowo dyplomaci, kolejarze, marynarze, także sportowcy (s. 285). Np. w 1962 r. stwierdzono, że kurierzy Departamentu I MSW oraz MSZ, korzystając z poczty dyplomatycznej, wywieźli z Polski co najmniej 160 tys. dolarów, kupując za granicą i przemycając do kraju (również pocztą dyplomatyczną) m.in. 4 tys. złotych dwudziestodolarówek (s. 286). Stopniowo przemyc ulegał „demokratyzacji”, w latach 70. i 80. stając się właściwie zjawiskiem masowym.

Osobna kwestia to przemytnicze gangi, przeważnie luźno powiązane (s. 283). Jak mógł wyglądać taki gang, świadczy proces 19 przemytników z Wrocławia zatrzymanych w lutym 1964 r. Wśród nich było „czterech zegarmistrzów, dwóch kierowników sklepów «Jubiler», właścicieli sklepów zabawkarskiego i galanteryjnego, trzech właścicieli wytwórni artykułów z tworzyw sztucznych, pracownicy: PTTK, Zarządu Aptek, rencista, kelnerka i cztery osoby bez zajęcia”. Jak uważa Autor, „składy innych grup zbytnio się nie różniły” (s. 283).

W przypadku bardziej wyspecjalizowanych gangów „tradycyjnymi źródłami złotej biżuterii” były Włochy lub ZSRR, złote monety i sztabki „tradycyjnie” kupowano w Hamburgu, Amsterdamie, Wiedniu i Berlinie Zachodnim (w zależności od możliwości transportu). Jako ciekawostkę można tu podać fakt, że w raportach wskazywano, iż przemytnicy zaopatrują się w kruszce czy kamienie szlachetne w firmach prowadzonych przez emigrantów z Polski pochodzenia żydowskiego (s. 288).

Kochanowski stara się też nakreślić portret cinkciarzy (s. 289–290). W okresie stalinowskim zaniknęły nieformalne walutowe giełdy, „z typowymi postaciami «koników», półgłosem informujących o chęci nabycia lub zbycia walut i złota (s. 291). Niemniej w większych miastach istniały miejsca — znane zainteresowanym — spotkań waluciarzy i ich klientów. Na przykład w Warszawie punktem rozpoznawczym był zegar dworca kolejki EKD na ul. Nowogrodzkiej w Warszawie (s. 291).

Po 1956 r. rozpoczął się, jak pisze Kochanowski, „ponad trzydziestoletni okres prawdziwej prosperity dla handlarzy walutą” (s. 291). Jego zdaniem, żadna inna profesja nie gwarantowała tak wysokich zarobków, nie wymagając jednocześnie zbytnich kwalifikacji i wykształcenia. Według milicyjnych szacunków zawodowy waluciarz skupywał w ciągu miesiąca dewizy o wartości ok. 600 dolarów, zarabiając dziesięciokrotność przeciętnej pensji

(a zdarzali się i tacy, którzy „wyciągali” jeszcze więcej) (s. 297). Inna rzecz, że wbrew pozorom wśród waluciarzy przeważały jednak osoby dorabiające do swoich skromnych uposażeń (s. 299–300).

Kres „dewizowej epopei” nastąpi w marcu 1989 r., gdy wprowadzono wewnętrzną wymiennalność złotówki i dopuszczono do obrotu walutą koncesjonowane kantory wymiany (s. 300).

*

Ostatni rozdział dotyczy turystyki handlowej. Poczynione tu obserwacje korespondują z wcześniejszymi spostrzeżeniami dotyczącymi geografii czarnego rynku.

Kochanowski szczegółowo opisuje regulacje prawne odnoszące się do ruchu turystycznego między KDL-ami (s. 314). Zwraca przy tym uwagę, że nawet w okresie ułatwień w przekraczaniu granic dochodziło do nieoficjalnych „turystycznych wojen celnych”, spowodowanych przede wszystkim obawami przed niekontrolowanymi zakupami, mogącymi zachwiać i tak niezbyt stabilnymi rynkami. Konflikty te nasiliły się na przełomie lat 70. i 80., gdy władze PRL wręcz dążyły do „przerzucenia popytu konsumpcyjnego Polaków na lepiej zaopatrzone kraje socjalistyczne” (s. 322).

Warta odnotowania wydaje się również kreatywność turystów handlowych. Np. w roku 1970, gdy „wskutek ograniczeń dewizowych i podwyżki cen węgierskich usług turystycznych dwutygodniowy wypoczynek nad Balatonem stał się o tysiąc zł droższy niż identyczny turnus w Bułgarii czy Rumunii”, polscy turyści błyskawicznie dopasowali się do nowych warunków, zmieniając miejsca „wypoczynku” (s. 311–312, 335).

Rozszerzanie się perspektywy geograficznej polskich turystów handlowych miało też istotne znaczenie kulturowe. O ile w latach 60. raczej nie wykraczano poza europejskie państwa socjalistyczne, o tyle w latach 70. i 80. coraz śmielej wyruszano do krajów kapitalistycznych (Austrii, Włoch, Francji, Grecji, Finlandii, Szwecji), a także do Turcji czy państw Bliskiego Wschodu. W latach 80. jednym z ważniejszych miast tranzytowych stał się Lwów: część handlarzy przywoziła tu poszukiwane w Związku Sowieckim towary (jeansy, peruki, ubrania), kupowało sprzęt sportowy i narzędzia — i kierowało do Turcji, gdzie był duży popyt na te towary. Stąd (wspomniane już) określenie „tranzyt lwowski” (s. 318).

Warto też uwzględnić opinię Kochanowskiego, że „mimo olbrzymiej skali przepływu ludzi i towarów” więzi między mieszkańcami krajów socjalistycznych nie były mocne. Jego zdaniem, „najściślejsze kontakty zostały nawiązane w Budapeszcie”, który w latach 70. stał się „centrum przemycniczym i tranzytowym” (s. 319).

Wydaje się, że wkrótce po 1989 r. szlaki handlowe wytyczone w okresie istnienia „żelaznej kurtyny” niemal zaniknęły (choć pojawiły się i nowe — z krajów postsowieckich na zachód) (s. 334).

Wnioski

Jakie konkluzje proponuje Jerzy Kochanowski?

Przede wszystkim podkreśla, że nawet najbardziej doktrynalnym reżimom, jak w Rumunii, nie udało się całkowicie wykorzystać „kapitalistycznego sposobu myślenia” (s. 338). Właściwie we wszystkich krajach socjalistycznych pojawiły się podobne strategie przystosowawcze (s. 339). Nawet w Związku Sowieckim szacowano w latach 80. rozmiary „drugiej ekonomii” na ok. 20% dochodu narodowego (s. 339).

Ciekawe wydaje się pytanie, „w jakim stopniu czarny rynek podkopywał system, w jakim zaś go stabilizował i wzmacniał”. Kochanowski wskazuje, że czarny rynek, przyczyniając się do powstania różnych enklaw swobody, łagodząc niedobory, stabilizował system, ale „raczej na krótką metę”. Przyjmując dłuższą perspektywę czasową, można dostrzec, że „nieformalne działania ekonomiczne”, sprzeczne z obowiązującą ideologią, „drażły w systemie rysy, z biegiem czasu coraz głębsze” (s. 342).

Czy można zatem uznać czarny rynek za formę oporu społecznego? Kochanowski pozostaje tu sceptyczny. Wskazuje, że czarne rynki w krajach socjalistycznych pozostawały przede wszystkim w swoistej symbiozie z oficjalnymi gospodarkami, w znacznej mierze eksploatując zasoby państwowe (s. 344). Zwraca też uwagę, że czarny rynek rządził się zasadą nierządno bezwzględного zysku, a wszelkie transakcje obciążone były tu ryzykiem (choć chyba jednak nie przesadnym, skoro czarny rynek raczej zyskiwał na atrakcyjności).

Ponieważ w logikę czarnego rynku wpisane były nadużycia i łamanie prawa, usprawiedliwione jest, zdaniem Kochanowskiego, pytanie, w jakim stopniu „demoralizująca siła socjalistycznej drugiej ekonomii odbiła się na postawach społecznych po 1989 r.” (s. 343–344).

Ostatecznie Kochanowski przychyliła się do opinii Edmunda Mokrzyckiego, że „inicjatywa prywatna była nie tyle trojańskim koniem kapitalizmu w socjalistycznej twierdzy”, ile raczej „integralną częścią socjalistycznej gospodarki”. A reformy rynkowe — narzucające reguły gry — okazały się zabójcze nie tylko dla znacznej części socjalistycznych przedsiębiorstw, ale i dla wielu czarnorynkowych „biznesmenów”, pozostających w symbiotycznych związkach z tymiż przedsiębiorstwami (s. 344–345).

Teza ta mogłaby być interesującym punktem wyjścia do kolejnej książki — o początkach kapitalizmu w III RP.

*

Czy książka wyczerpuje historię czarnego rynku? Przede wszystkim jest ona dogłębną rekonstrukcją jego mechanizmów. Szacunek budzi kompetentne ukazanie omawianych zjawisk w dłuższej perspektywie czasowej. Szeroka kwerenda przeprowadzona przez Kochanowskiego ustawia wysoko poprzeczkę dla tych badaczy, którzy chcieliby zająć się podobną tematyką w przyszłości.

Niemniej wydaje się, że wskazane byłyby dalsze studia monograficzne poszczególnych zjawisk tworzących czarny rynek. W książce zabrakło szkicu na temat budownictwa, zwłaszcza budownictwa jednorodzinnego. A przecież wybudowanie domu bez uczestnictwa w operacjach czarnorynkowych było w PRL właściwie niemożliwe.

Wątpliwe wydaje się też łączenie (a nawet utożsamianie) prywatnego rzemiosła z czarnym rynkiem, nawet jeśli uznać, że nie mogło ono funkcjonować bez czarnorynkowych strategii przystosowawczych (zob. np. s. 145).

Przydatne byłyby dalsze studia nad postawami ludzi władzy. Na opisanie zasługiwałby udział Służby Bezpieczeństwa w operacjach czarnorynkowych (niewiele dowiemy się z książki choćby o aferze „Żelazo”, a przecież nie wyczerpuje ona tematu). Na uwagę zasługiwałaby też przemiana światopoglądowa tzw. młodych sekretarzy w latach 80. (Marek Król czy Marcin Świącicki), przechodzących na pozycje wręcz ultraliberalne (pytanie: jakimi drogami?).

Też wieńczącą książkę (czarny rynek pasożytujący na zasobach państwowych) dało by się zapewne odwrócić. Specyfiką III RP okazało się bowiem pasożytowanie „państwa” na prywatnej przedsiębiorczości (np. sprawa Romana Kluski). Można się więc zastanawiać,

w jakiej mierze tzw. kapitalizm państwowy jest również dziedzictwem PRL — wykształconych wówczas mechanizmów gospodarczych i obyczajów.

Podsumowując, trzeba podkreślić, że mamy tu do czynienia z pracą doskonale udokumentowaną, imponującą rozmachem i erudycją. To bez wątpienia jedna z najważniejszych książek o PRL. Na pewno zainspiruje wielu badaczy do dalszych poszukiwań. Pokazanie bowiem tego, co „nieoficjalne” w PRL (a więc trudno uchwytnie za pomocą źródeł wytwarzanych zresztą aż w nadmiarze przez instytucje państwowe i partyjne), to jedno z największych wyzwań stojących przed historykami dziejów najnowszych.

* * *